

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Janusz Anderman

Tymczasem

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Masa upadłościowa

To było wysypisko książek, zwiezionych tu, do papierni, ze zbankrutowanej hurtowni; masa upadłościowa, kolosalna jak wygasły wulkan; u stóp zbrocza pracował taśmociąg, a oczadziały z zimna robotnik kłuł widłami tomy i jeśli nabił któryś, zgrabiałymi palcami zrywał go ze szpikulca i ciskał na mlaskającą taśmę...

A dalej, w zacisznej niszy, wygrzebanej w zboczach literatury, kuliło się dwóch strażników przemysłowych, grzejąc plecy o mierzwę książek.

Młody pocierał szerniały od mrozu nos i nie odmykając oczu marzył z nadzieją; coś mnie nos swędzi, pa plutonowy, coś pił chyba będę, czy jak, kurka fa...

– Nosa, kochany, nie oszukasz – powiedział plutonowy i rytualnie uniósł klapę raportówki, spod której załśniła złota plomba kapsła, ale młody struchlał nagle i wyciągnął rękę, by powstrzymać plutonowego i łapczywie słuchał, a potem wychynął z niszy i przełożył automat na pierś; ktoś się przedarł na teren, pa plutonowy... kurka fa...

Plutonowy wolno urósł z kucek i wysunął ostrożnie głowę i zadarł ją wysoko, jakby chciał spojrzeć w niebo, bo widok zasłaniał mu daszek czapki.

A u podnóża góry przycupnęła staruszka i wyglądała, jakby ją przygiął do ziemi ziąb, ale ona drobnymi ruchami wybierała książki i układała je delikatnie w staromodnym wózku dziecinny, wyrobionym z dykty na kształt tulipana.

– Robim wkroczyć, pa plutonowy – szepnął podniecony strażnik. – Przetawić maszynę na ogień ciągły? – zapytał jeszcze i ścisnął kolbę automatu. – Kradnie, kurka fa, mienie...

– Czekaj, czekaj... – powiedział cicho plutonowy – czekaj... Ja to ją znam... Ona tu mieszka niedaleko. Ona .nauczycielką była kiedyś. I mnie też uczyła swego czasu...

– Ale mienie rozbiera, pa plutonowy...

– Czekaj... Ona nauczycielką była, jeszcze od przedwojny... – powiedział plutonowy i umilkł. A potem dodał od rzeczy: – Przed wojną to była kolej... Pociągi można było regulować...

– Ale, pa plutonowy... – dygotał z emocji młody strażnik przemysłowy, bezwiednie pocierając nos.

– Wiesz co – odpowiedział plutonowy – wiesz ty co, a niech se weźmie; nam nie ubędzie... Ja to słabość do niej mam... że mnie wy kierowała na ludzi... Chociaż ona taka zawsze zamknięta sama w sobie była. I taka odpychająca od samej siebie. Ale człowieka ze mnie zrobiła i człowiek nie idzie przez to życie na tak zwany przysłowiowy oślep... I podniósł klapę raportówki, pod którą tyskało magiczne oczko kapsła; co będzie Polak Polakowi Niemcem...

A staruszka pchała teraz z mozołem rozkolebany wózek; jej kruche plecki oblekał brązowy płaszcz, obsypany gruzełkami i zgrubieniami, jakby był skrojony z kosztownej cze-

suczy... a ona patrzyła chciwie na barwne okładki i zatrzymała się na chwilę, by złowić oddech i jeszcze okryła te książki strzepem kocyka...

A gdy strażnicy przemysłowi zdawali już broń na wartowni, ona siedziała na taborecie, oparta ramieniem o wózek i sięgała po książki i gładziła grzbiety, jakby chciała ożywić zamierzchłe lata, a potem wsuwała te książki w czeluść zakrzepłego pieca i niecierpliwie dotykała kafli, po których znów zaczynały się osypywać płatki ciepła...

Przejaśnienie

I wtedy wir powietrza wessał sute mgły i wyłonił się padół; bezkresne wyrobisko, wyrwa w ziemi aż po horyzont... Zdradliwe urwiska żwirowni, żłobione przez człowieka, przez deszcze, przez uporczywe wichry i kłęski.

Skarpy i wydmy suną mozolnie we wszystkie strony i zostawiają po sobie porzucone niegdyś lub zapomniane przedmioty. Wśród kamyków łyśnie czasem zawilgły kiel marmuta, kamienny toporek, kula do średniowiecznej katapulty, przestrzelony niemiecki hełm, flaszka, cudem zachowany strzép zetlałego sztandaru z tropem złotych liter: Powiatowy Zarząd Ligi Kobiet imieniem Janka Krasickiego...

I jeszcze poniechany spychacz, wchłaniany przez żarłoczne żwiry i garść wyblakłych faktur i zdezelowane liczydła z działu rachuby... pieczęć podłużna...

Tu istniała kiedyś fabryka domów; pierwsi przybysze najpierw dla siebie ulepili ze żwiru i cementu wątle ściany i stropy i ustawili blok i pospiesznie zasiedlili pomieszczenia, a potem nie pozostało im już nic innego jak trwać...

I ten blok też się teraz ukazał na mgnienie, wymarły, z czarnymi kwadratami po złuszczonej styropianie, oddany na pastwę chłódów i wyglądał tak, jakby zeń ludzie już odeszli, ale nie, bo na klepisku przed blokiem cedził drobne kroczyki mężczyzna, dziwnie przegięty do tyłu, jakby go swojego czasu przetrącała pokrywa kotła, a w bok żgała go kulakiem żona i popędzała ze złością; spaceruj, spaceruj... niech cały blok widzi, że spacerujesz... spaceruj...

– Yyyyyyyyy – odpowiedział z wysiłkiem mężczyzna; pełnymi zdaniem mów, tumanie jakiś, zachnęła się kobieta i rozkaszała się donośnie, jakby chciała odwrócić od siebie uwagę.

Ale w oknach nie pojawił się nikt; tylko szyby igrały barwami; padały na nie blaski ekranów. Bezrobotni z fabryki domów sycili się w ciszy licznymi programami telewizji kablowej.

I gdy mężczyzna z drugą grupą inwalidzką otworzył sąsiadowi, który też miał drugą grupę inwalidzką, to usłyszał od drzwi: dziś moja kolej na przerzucanie, dej pilota; od dawna każdego dnia przełączali na przemian kanały i wpatrywali się w obrazki i nie włączali głosu, by nie rozpraszały ich nieswojo brzmiące słowa.

W izbie był piec, metalowe łóżko, przysadzista szafka z wypalonym napisem Mlinchen 1919, emaliowany garnek i nocna lampka: żarówka wkręcona w rozwartą paszczę szczupaka i raz jeden z nich z drugą grupą inwalidzką powiedział: Chrystus mnie się ukazał; to ja na kolana i buch, modłę się, nie? I co nagle widzę? Że ja się modłę w różnych obcych językach. A w ogóle to one są obce.

No nie znam ich. I od tej pory tak się zawsze modłę. Tylko się muszę cholernie napiąć. A potem to już samo leci...

– Ja zaprzestałem uczęszczać – odpowiedział drugi z drugą grupą inwalidzką. – Jak mnie Rumuny dwukrotnie pogryzły...

– Jak Rumuny?

– No na mszy. Te małe Rumuny. Jak im nic nie dać, to po nogach kęsają... Do krwi... Zmuszony byłem zaprzestać... Co to, ja nogi na loterii wygrałem?! Nogi ma się jedne dane! – rozwścieczył się nagle, ale targnął głową i uspokoił się momentalnie.

Więc oglądali w ciszy i jeden z drugą grupą inwalidzką trafił kciukiem na jakiś polski program; redaktor rozmawiał z nowojorskim policjantem i po ruchach warg można było odczytać pytanie redaktora; czy pan się wstydzi, że pan jest Polakiem... i zaraz pojawił się inny program, tancerki, baletnice, powiedział ten z drugą grupą inwalidzką, ale ładnie...

– Ładnie to jest w sklepie monopolowym – odpowiedział z rozpaczą drugi. – A jak ta z kadrów? – przypomniał sobie i wskazał brodą na ścianę.

Pierwszy z nich, z drugą grupą inwalidzką, dźwignął się z łóżka, wziął emaliowany garnek, przystawił go dnem do ściany i przycisnął ucho do tego garnka i zrobił to z taką siłą, jakby chciał wepchnąć głowę do środka; ona jemu mówi, nasłuchiwał i wwiercał głowę w garnek; jemu mówi, że on jest jej drugim chłopem w życiu... i że jeszcze żaden chłop jej tak nie dogodził... i machnął ręką i odstawił garnek, zniechęcony; rant garnka odcisnął mu z boku głowy różowe kółko, aureolę na bakier...

– Spaceruj, spaceruj! – popędzała mężczyznę żona – niech cały blok widzi...

– Yyyyyyyyy! – odpowiedział i żyłki deszczu wiły mu się na skroniach, a z klatki schodowej wyszedł inny mężczyzna; usta miał jak piwonia i zatrzymał się i ze zdumieniem oglądał na dłoni wybite zęby, a potem usiłował je na powrót umieścić na swoim miejscu, aż wreszcie zamachnął się tymi zębami na kota, który wyczołgał się cichcem spod nieczynnego samochodu syrena bosto i wtedy wypadł skądś nieduży pies ze szczecią zlepioną na zapadłych bokach i rzucił się na tego kota, który nawet się nie bronił i tylko zawył i rozpląszczył się w błocie, a pies kopulował zaciekle z psią przebiegłością i ten mężczyzna otworzył próżne usta ze zdumienia, a garść zębów wsunął bezwiednie do tylnej kieszeni spodni; kot znowu zawył, ale nie uciekał i w oknach zaczęli pojawiać się ludzie i gdy zrozumieli, co się dzieje na dole, wracało w nich życie i wybuchali śmiechem, a na ich twarzach pojawiała się błoga sytość i w jednym z okien pokazali się ci dwaj z drugą grupą inwalidzką i śmiali się bezgłośnie za szybą i tak trwali, odwróceny plecami do telewizji kablowej, a na wargach pękały im pęcherzyki piany...

A ta kobieta z mężem patrzyła oniemiała na psa szepionego z kotem i nie mogła wydobyć słowa, więc tylko walnęła męża w żebra, aż zadudniło, a on nagle odezwał się pełnym zdaniem i z brwi skapnęła mu perlowa kropla deszczu; tak, tak... jak przyjdzie ochota, to nawet mysz kota wy chrobotą... i wtedy znad wyrobiska powróciły mgły i świat znów stał się nierealny...

Tłoka

Powietrze aż spotniało; zawieszony pył mżawki jest gęsty i zbity w kołtun i wikłają się weń słowa pieśni, snutej przez rozkolebaną orkiestrę uliczną z podzwaniającą bandzolką; Jezu, ty mnie czujesz, ty mnie dobrze znasz, ty z radością patrzysz w mojej duszy twarz, bo ty kochasz mnie nie raz; czad gorzałki spowija głowy muzyków jak ciasny turban.

Udręczony człowiek ugina się do okienka kiosku i przekrzywia głowę jak ostrożny ptaszek; jest ta perfuma? i z nadzieją przekrzywia głowę na odwrot.

– Jaka perfuma? – ocyka się kioskowy.

– No, ta...

Wabi sprzedawcę tak zachęcająco, że ten unosi się z zydła i pochyla się jak do lubieżnego pocałunku; tamten chucha do niego i w napięciu unosi brwi, a kioskowy opada na swoje miejsce i przymyka oczy jak wyrafinowany kiper.

– Ta wyszła perfuma.

– A jaka jest? Bo, o matko!

– Ta! – dopuszcza do siebie klienta i chucha w odpowiedzi ulotną jak welon mgiełką.

– Ta za droga... – mówi bez wahania zrozpaczony mężczyzna i odwraca się i przygięty oddala się wolno nie wiedzieć dokąd i okazuje się, że on się nie skłaniał przed kioskowym, tylko już na zawsze zastygł w tej pokornej pozie raba.

– Droga, droga! – zanosi się oburzeniem kioskowy. – Co to za naród wredny jakiś! – i aż drży z nagłego napięcia i gwałtownymi wymachami rąk wyrównuje stosy pstrych gazet pornograficznych i opornie dochodzi do siebie.

– Droga... Ale jak w beret kopie za to! A na krawężniku siedzi hojnie odziany mężczyzna i rzewnie płacze; czasem szloch nagły jak przyływ szalonej energii miota jego ciałem; mężczyzna kułakiem gasi łzy na policzkach; palce drugiej ręki zaciskają się kurczowo na kowadle telefonu komórkowego.

Jeszcze przed chwilą otaczali go badawczo ludzie z przyjaznej tłoki i stał nad nim zafasowany policjant i bezwiednie bawił się kłębkim konopnego sznurka; jakby się może taki wpizgnął w jaką dziurę, snuł mozolnie swoją wizję, to może by się i zapadł. To on może by się spalił. To byśmy może po pozostałym uzębieniu poznali. A tak? Nie dojdzie jego, nie rozbierze; policjant był dopiero co przeniesiony do stolicy i zupełnie nie miał rozoznania. Więc tylko machnął ręką, czubkiem pałki przesunął czapkę z przodu głowy na tył głowy i poszedł, gdzie go oczy poniosły.

– Jezu, Jezu... – jęczy siedzący na krawężniku mężczyzna i kolanami zaciska uszy, jakby nie chciał siebie słyszeć. – Jezu, zabijcie mnie... dobijcie... ja przepraszam... że żyję... to się więcej nie powtórzy...

– Jak trwoga, to i do Boga – obruszyła się kobieta i zaraz pochyliła głowę, wraziła do ucha wskazujący palec i zaczęła nim poruszać z taką szybkością, że stał się niewidzialny.

– No jakże, pani Zofio, trwoga trwoga, Bóg Bogiem, ale ja też objawienie pozawczoraj miałam. Matka Boża mnie się pokazała. W płaszczu. No? – zaszepotała sąsiadka i rozglądała się podejrzliwie na boki, a potem z całej siły zaciągnęła węzeł chustki pod brodą i pociągnęła nosem.

– Aaaaaaatam – odpowiedziała kobieta z niewidzialnym palcem w uchu. – Ja lepiej miałam. Mnie się Matka Boża pokazała i do tego szatan jeszcze na dokładkę! Ale taki wielgi, szataniasty, a czarny?! Matka Boża jak nie tupnie nogą, a ja patrzę, a jego nie ma! Ja lepiej miałam, ale się przynajmniej nie chwale...

– Jak to się popularnie mówi, mnie się teściu okazał jak konał! – krzyknął przeraźliwie mężczyzna; na uszach miał słuchawki w kształcie fioletowych pomponów i co jakiś czas mimowolnie wycinał do taktu hołubca; wydawało mu się, że mówi normalnym głosem, ale przekrzykiwał muzykę i przerażone kobiety aż przysiadły i odsunęły się z respektem, a mężczyzna ruszył teraz posuwicie jak w polonezie w stronę płaczącego na krawężniku, chwycił go za ozydle na piersiach i potrząsnął ze współczuciem; panie, krzyczał strasznie i wyciągał rękę w stronę Pałacu Kultury, tam pan idź na otarcie łez! Tam wieloryba pokazują za pieniądze! To jest duża atrakcja! Kolos, jak ja to zabawnie mówię! Tylko, że on trochę zaśmierdnięty i okropnie od niego cuguje! Aż miło! – wyciągnął nagle szyję w stronę wystawy sklepowej i odbiegł lekko na czubkach palców, jakby słuchał teraz Czajkowskiego, a siedzący na krawężniku podniósł tylko w górę wypłakane oczy i otworzył usta i zblekotał coś do świata, a twarz pokłuły mu nagle ruchliwe dziobki deszczu.

I nic się nie zmieniło, aż ludzie z tłoki zaczęli się niecierpliwić.

– Co to jest, w dzisiejszych czasach to się czasu nie wygrywa na loterii. By zrobił co z sobą czy jak. Ile będziemy tak stać!

– Jakby honor Polaka miał, to i samobójstwo by sobie odebrał. A tak? Na pusto się stoi...

– Lepiej by w tej danej sytuacji brytyjsza zrobił. I narodu nie zatrzymywał. Jemu i tak już nic nie pomoże. Nic.

– Jakiego brytyjsza?

– Jak jakiego? Normalnego. Po angielsku wyjść i odejść. Te klasę mieć, żeby się nikt nie skapnął, jak się odchodzi. Kto ma dziś czas na takie zgęstki?

– Od razu mogę odpowiedzieć. Nikt.

– No mówię!

– To ja powiedziałem!

– Ale ja pierwszy ująłem!

– I tu bym przypolemizował!

– A idź! Bo jak dam parę kujawiaków w dupę! To nie wiem!

Teraz mężczyzna na krawężniku siedział sam i można by pomyśleć, że deszcz ukołysał go do snu, ale nie, bo on nagle zaczął tłuc pięścią o kant krawężnika, aż na kostkach palców zaiskrzyły się rubiny; zaraz zmyły je krople wody.

A znużeni jego nieszczęściem ludzie stali teraz przed wystawą sklepową i kulili się w deszczu i ramiona im drgały, jakby je zgał chłód, lecz były to tylko krótkie spazmy śmiechu; za szybą łyśkał ekran telewizora; wyświetlano kreskówkę dla dzieci; dorodny mężczyzna fruwał bez wysiłku w przestworzach, a potem bez wysiłku łamał kości swoim przesładowcom; oczy widzów zwracały się na moment ku sobie i szukały potwierdzenia i po policzkach płynęły krople, a może łzy, a potem oczy znów łowiły zawiłą akcję i jakaś ręka

wyciągnęła się i dłoń przetarła mokrą szybę, a lica latającego człowieka odzyskały zdrowy rumieniec...

Wtedy do telewizora zbliżył się subiekt i chciał przełączyć kanał, a na to ten mężczyzna ze słuchawkami w kształcie pomponów wrzasnął: nie regulować telewizorem!, a subiekt odskoczył od aparatu w panice, ale zaraz wrócił i z furią spojrzął w okno wystawowe na rozognione twarze i wałnął pięścią w przycisk; na palcu miał sygnet; z finglem gościu, czysty blit, szepnął ktoś za szybą, a na ekranie ukazał się spiker; to alkoholik, ten spikier, powiedziała z przekonaniem kobieta, prawie nie patrząc.

– Jaki to alkoholik! Gdzie? Przecież to trzeba trochę tej wrażliwości. Tej wyobraźni. Tego talentu. On? Alkoholik? W życiu i jeszcze długo nie!

Mężczyzna na krawężniku kołysał się miarowo i jęczał monotonnie pieśń szalonego muezina; nikt nie chciał mu poświęcić nawet spojrzenia.

Uderzył zniecka deszcz, a za plecami ludzi, wpatrzonych w ekran telewizora, pojawił się chłopczyk czy może karzeł z wymiętą twarzyczką i odezwał się niby od niechcenia; lepiej stąd spierdalajta ludzie, bo tu zaraz pod tą firmą będzie siwy dym... A ludzie oprzytomnieli nagle i tylko spojrzeli po sobie i naprawdę nie trzeba było im tego powtarzać.

Mężczyzna siedzący na krawężniku nawet nie próbował się podnieść, choć został tu sam. Dźwignął tylko głowę i wyglądał, jakby moczył utrudzone stopy; rwący strumień szalał wokół jego goleni.

Wtedy z deszczu wybiegło pędem dwóch ludzi, dźwigających mumię egipską; nie wiadomo, czy uciekali z łupem, czy tylko chcieli uchronić ją przed wodą, ale i tak wysuszona mumia chłonęła łapczywie deszczówkę i człowiek, podtrzymujący mumię za szeroką pierś, przeskoczył nad potokiem przy krawężniku i nawet nie zauważył, jak pod wpływem wstrząsu głowa mumii oderwała się od tułowia i jak pochłonęła ją woda; obaj zniknęli w ulewie.

Głowa mumii popłynęła rynsztokiem, aż trafiła na łydki mężczyzny, siedzącego na krawężniku i zakreśliła się wokół nich przymilnie, a on wolno otworzył oczy i ujrzał tę głowę i patrzył na nią oczyma, w których zabrakło łez.

A potem po raz pierwszy wypuścił z ręki telefon komórkowy, ujął głowę w dłonie i położył ją sobie na kolanach.

A jeszcze później pochylił się powolutku i oparł skroń na obandażowanym policzku głowy...

I tak już trwał.

Jak gdyby

Ponad zastygłą arką dworca, po szklistych strunach grudniowego deszczu, pełgają w niebo puste płomyki reklam i gasną w zaduchu chmury; na podjeździe tkwi biały polonez, zarejestrowany w Lubartowie, a w wyziębionym wnętrzu kierowca w zapamiętaniu wygrywa na harmonijce ustnej i nie widzi nawet pijanego człowieka, który mozolnie wypisuje palcem na karoserii zaklęcie: kocham Stefana – Stefan, a potem stawia kropkę i przez chwilę nogi niosą go po kołędzie, ale zaraz połyskliwe płyty chodnikowe pędzą mu na spotkanie i ten człowiek żali się teraz samemu sobie: niepotrzebnie się przewróciłem... zupełnie niepotrzebnie... i maca bezradnie za czapkę, którą uniosły gdzieś wezbrane wody przepastnej jarugi, pośrodku której zatrzymał się właśnie upstrzony krzykliwymi napisami autobus miejski.

Sapią dychawicznie drzwi, a szofer skłonił skroń ku zapoconej bocznej szybie i patrzy bez myśli w lusterko, które daje mu odwrócony mroczny obraz i słyszy głos kontrolera, pochylającego się nad jedynym pasażerem, który jak batog dzierży w dłoni wędzisko, a drugą ręką z trudem podtrzymuje rozwalonego na siedzeniu dwumetrowego suma. Wędkarz puszcza na moment wędzisko i zanim straci ono równowagę, zdąży wyjąć z kieszeni bilet, podać go kontrolerowi i uchwycić je na powrót.

– Bagażowy!

– Jaki багаżowy? – dziwi się stary wędkarz.

– Opłata багаżowa!

– Za co, panie, opłata багаżowa? Za sprzęt?

– A ta bestia?

– Ona ze mną...

– No właśnie... Opłata багаżowa!

– Panie! To nie багаż! To rybka wigilijna! Z rybów jadę!

– Rozmiary dopuszczalne przekracza!

– Panie! Jakie rozmiary? Przecie to nie walizka! Bądźże pan chrześcijaninem.

– Kultu niech nie miesza z багаżem, bo ja ochrzczony jestem, w przeciwieństwie! I przedmurz chrześcijaństwa o sobie popularnie powiedzieć mogę! A toto większe jak walizka – kontroler targa z furią martwy łeb suma. – Ma być trzydzieści a czterdzieści a sześćdziesiąt na wymiar – wydobywa taśmę mierniczą i, miotając stalowe błyski, operuje nią sprawnie jak florecista.

– Znaczny przekroczył wymiaru багаżowego... I obraz na powierzchni lusterka rozplywa się, powieki szofera opadają, a po jego skroni wije się lodowaty nerw skroplonej pary.

A w nabitej poczekalni dworca kobieta, okutana w mnogie męskie palta, leży na ławce tak spokojnie, jakby się syciła rozleniwionym słońcem; wydaje się nawet nie oddychać, a jednak zaczyna zniecka wierzgać nogami, spętana taką paniką, że w okamgnieniu przepędza i siedzących w sąsiedztwie podróżnych i demony i jednak się ocyka i rozwiera zagadkowe jak u Egipcjanki oczy.

– Alem się przelekła – śmieje się z niedowierzaniem i z niekłamanym podziwem kręci głową. – Jak jeszcze nigdy się nie przelekłam... Szczęściem, że to tylko sen... chwalić Pana...

Hala dworca jest tak zatłoczona, jakby pociągi nie kursowały już od dawna albo jakby ci ludzie osiedli na zawsze w kwaśnym pólnie na bezpiecznie dryfującej krze.

I ta rozkolebana przeciągami choinka, sypiąca igłami i migami żarówek; pod jej rozłożystą kiecą leżą olbrzymie tekturowe pudła, obleczone barwnym papierem i Rumunka o mroczej twarzy, po której ślizgają się równolegle dwie wąskie pręgi; ta Rumunka z dziewięciomiesięcznym barokowym brzuchem rozpakuje teraz te pudła i to, że są puste, nie sprawia jej zawodu, bo ona tylko wlecze je w zaciszny kąt pod schodami, by sklecić z nich przytulną kolebę i schronić się w niej pod okryciem zdobyczej deki.

W drugim kącie hali dworcowej rumuński chłopiec przesuwając dłoń po zabłoconych podszwach uspiętego pielgrzyma, jakby sprawdzał, z jakich stron ten człowiek przybywa, ale on tylko zbiera brud, a potem usmotruchanymi palcami smaruje dla efektu policzki i leniwym krokiem artysty występuje na środek, ciągnąc za sobą akordeon, który wydaje rozdzierające dźwięki. Chłopiec dochodzi do obrotowego podestu, na którym majestatycznie kręci się zapomniany tu małowitrazowy samochód, przysiada na tym podeście, zarzuca na ramiona szelki instrumentu i na wszystkie strony świata ogłasza żmudnie zasłyszaną od kogoś pieśń: nazi, front twoim hasłem, a swastyka godło twe, Adolf Hitler twoim ojcem, twoją bronią cyklon be!...

Przenikliwy wizg zagłusza te słowa; to na prowizorycznym warsztacie majster i jego pomocnik demonstrują piły, które przecinają wszystko. Majster zamaszystymi ruchami doświadczonego stolarza piłuje wkręconą w imadło butelkę.

– Każdą jedną flaszkę przetniesz! Od gorzałki flaszkę! Od mleka! Od lekarstwa! Od orynżady! Od soku! Od oleju!

– Od oleju nie przetnie... Bo poślizg... – podaje ktoś w wątpliwość jego słowo.

– Od oleju przetnie! Tylko piaskiem sypnąć! Od śmietany!

– I piłę przetnie, panie Józefie – podpowiada usłużnie pomocnik. – Piłę.

– Piłę ta piła przetnie! – podchwytuje majster, wykręca z imadła butelkę, na jej miejscu umieszcza brzeszczot i triumfalnie tnie. – Macie!

– Ja ciiiiie... - dziwią się widzowie. – Piła piłę tnie, no nie, aż głowa mała... Tylko na co te wszystkie butelki ciąć? I te piły?... Co to da komu innemu?... Na skupie butelki w plasterkach nie wezmą...

A majster zamiera na te słowa z otwartymi ustami i nie potrafi odpowiedzieć, więc odkłada ostrożnie piłę i zamyśla się, a widzowie cierpliwie czekają; z gniazda ciężarnej Rumunki dochodzi zduszony jęk, a może westchnienie lub klątwa.

Majster podnosi głowę, jakby w górze szukał odpowiedzi, ale w górze tkwi tylko oślepiłe oko zepsutego telewizora; pokryty bielmem ekran pulsuje miarowo i z pudła dochodzą odgłosy jakiegoś konkursu; panie Czesiu, proszę wylosować szczęśliwca..., a potem nagle pojawia się obraz i wiele oczu, które obserwowały martwy ekran, ożywia się; trwa pokaz polskiej mody, mechaniczna modelka w zielonej peruce i w niebieskich rękawiczkach, sięgających po ościste łokcie, dźwiga w objęciach pumę; jaki duży pies, mówi z podziwem zakonnica, a złocisty kolczyk w jej uchu podzwania odbitym światłem...

I to światełko prześlizguje się bezwiednie po czole żebraka, który jak znużony tułacz opiera się o betonowy filar, jakby czerpał z niego ciepło, a pomiędzy rozwartymi nogami trzyma uchylony futerał od skrzypiec, znaleziony na wysypisku śmieci; żebrak ma opuszczone powieki, ale słucha sąsiadów obok, którzy zabijają czas, jakby na coś oczekiwali; jeden z nich chlusta sobie przy tym na twarz wodą z flaszki i wyciąga z kieszeni pędzel; trzeba się ogolić, potem człowiek może nie zdążyć, zapodawaj.

– Kajak na wspak.

– Na ile liter?

– Na pięć.

– Pionowo?

– Nie. W poziomie.

– Może statek będzie?

– Nie pasuje...

– Tobie dziś nic nie pasuje i nie pasuje!

– Bo tak podajesz.

– To ty zapodawaj. A ja będę pisał.

– Ty! A takie: koza inaczej...

– Koza inaczej... Może kozak?

– Ale to grzyb. Ma być koza inaczej. Co ty mi z grzybem?

– A jakie masz litery?

– Czwarta jest i.

– To będzie koziorożec. Pasuje.

– Ko... zio... pasuje... Ale mam... niech mnie kule biją po rękach... Współczesny psycholog amerykański...

– Na ile liter?

– Siedem w pionie.

– No, to kiszka z wodą.

– Może Neisser? – odzywa się z mroku żebrak, nie otwierając oczu.

– Do mnie to alibi?

– Przez dwa es – mruczy żebrak.

Ale podróżny porywa się w panice na nogi, bo nagle jak senny koszmar widzi przed sobą dziwne brodate oblicze; to koza, która z szybką precyzją odgryzła mu połowę strony z krzyżówką i teraz żuje, patrząc w zadumie gdzieś ponad jego głową.

– Co to jest? Ta koza! Krzyżówkę mnie zeszamała! Kogo to koza! Gdzie pastuch od tej kozy?

– Moja koza, panie... – podnosi się z ławki wyschnięty na wiór staruszek i siada, a potem zaraz znów się podnosi, jakby składał meldunek; w podróży my.

– Gazetę mnie...

– Gazeta, panie, to dla niej przysmak największy. Już druk tłusty, kanada dla niej... A mądra suka! Jak niejeden, z przeproszeniem, człowiek... Może od tych gazet ta mądrość przechodzi na nią?

– A mleko? Da się pić?

– Mleko? To cymes, panie! Na pierś dobre, tylko cholernie zimne. Znakiem tego, że u niej cyc taki lodowaty... Ale przywiązał się człowiek... Bez niej to ja bym już życia nie miał...

Ale nikt go nie słucha.

– Giry! Giry zabierze! – słyhać pełen kaszlu krzyk sprzątaczk, która mniej czujnych okłada po goleniach szczotką, okutaną brudną szmatą.

Mężczyzna z lupą zegarmistrzowską w oku obserwuje coś na dłoni i mechanicznie podnosi nogi, ale jest tak zajęty obserwacją, że gdy sprzątaczk oddala się, zapomina o uniesionych nogach i zastyga w tej pozycji jak katatonik. Przesuwający się boczkim pijak aż przeciera oczy ze zdumienia i już by coś powiedział; królu srebrny..., ale jakaś tajemnicza siła przepędza go w drugą stronę i by utrzymać równowagę, pijak musi teraz drobić nogami tak szybko, jakby tańczył w „Jeziorze łabędzim”...

A do brodatego mężczyzny z czułkiem lupy przysiada się dwóch innych; rozglądają się podejrzliwie i pochylają głowy; pan kolega też? Miniaturzysta? Konstruktor? Na zjazd?

Zapytany podrzuca ze strachu głową, aż wypada mu okular.

– A koledzy też?

– Jak najbardziej – odpowiada miniaturzysta, wyciąga swój okular, ujmuje dłoń kolegi w swoje ręce, skłania się nad nią jak do pocałunku i bada eksponat.

– Skrzypce z rozpołowionego ziarenka maku... - objaśnia tamten.

– Ja panu koledze zademonstruję... – drugi otwiera walizę i po chwili pokazuje coś na dłoni.

– Żaglowiec we wnętrzu włosa – tłumaczy.

– Piękny okaz... piękny okaz – bulgocze pobłażliwie trzeci i wydobywa mieszek, zawieszony pod koszulą na piersiach, a z mieszka wyciąga pudełeczko, wymoszczone watą, na której bieli się ziarenko grochu.

– Ależ to kolos, panie kolego! – oburzają się tamci.

– Kolos? To niech pan rozkręci – mówi tajemniczo miniaturzysta.

– Nie w tę stronę! Dla zabezpieczenia zastosowałem gwint niemiecki.

– Panorama Raławicka! – aż jęczy oglądający.

– Kompletna Panorama Raławicka – potwierdza z dumą miniaturzysta.

– Co tam mata? – pochyla się nad nimi pijak, którego znów przyniosło do ławki. – Bo może ja bym wziął? Pokażta! – i pochyla się nad miniaturzystami, ale ziemia usuwa mu się spod nóg i wali się na nich, a oni z rozpaczą padają na kolana, jakby chcieli błagać o litość i przeszukują posadzkę rozedrganymi z trwogi dłońmi.

– Jest! Jest!

– Gdzie co jest to? – bełkocze pijany, ale znów, jak ciągnięty niewidzialną liną, sunie pod przeciwległą ścianę.

Miniaturzyści oddalają się szybkim krokiem, zatrzymują się za tablicami z rozkładami jazdy i znów skłaniają głowy i wyglądają jak babilońscy magowie.

Pod kasą biletową stoi wędkarz, na kamiennym blacie złożył z ulgą połowę suma; drugą połowę musiał pewnie oderznąć dla kontrolera, by uniknąć płacenia mandatu.

– Nie jest to aby niebezpieczny ładunek? Przewożenie niebezpiecznych ładunków zakazane! – unosi się ze swojego stołka kasjer, wysuwa przez okrągły otwór w szybie małą główkę i z obawą przygląda się rozwartej paszczy.

– Gdzie, panie! Przecie to obrzyn... Ani zipnie... Na wigilię rybkę wiozę...

– No nie wiem, nie wiem... Taki węgorz, to jeszcze z patelni umi się do gardła rzucić... Niech naczelnik się wypowie... Tyle, że naczelnik na chorobie...

A przez halę dworcową biegnie kobieta z rozkwitłą na ustach piwonią krwi, ma nie widzące oczy i ręce szeroko rozwarte i biegnąc wpada na choinkę, a choinka z murgającymi gorzko żarówkami chwieje się niebezpiecznie i pada; światło żarówek pęka z hukiem, a czekający ludzie zaciskają odruchowo powieki, by uchronić oczy przed szklistą zawieru-

chą; kobieta nawet tego nie zauważa i biegnie lekko do drzwi wyjściowych i krzyczy ze szczęścia:

– Za mnożność dostałam! Za mnożność! Wszędzie bym za nim poszła! Nawet w ślad!

I pochłania ją mrok świata i deszcze.

A tam stoi zaciemniony autobus; szofer nagle się wzdryga i odrywa skroń od szyby i zasłania dłońmi twarz, jakby go nagle ogarnęła rozpacz.

I kierowca poloneza z Lubartowa przytomnieje w tym momencie i odejmuje organki od warg i uderza nimi o kierownicę, obciągniętą imitacją tygrysięgo futra, by wytrząsnąć z wnętrza instrumentu ślinę, a potem chowa organki do skrytki auta, składa głowę na zagłówek i patrzy przez szybę w górę, w niskie chmury, gdzieś tam, nie wiedzieć gdzie...

Sto lat

Deszcz szumi miarodajnie; krople cykają na betonie jakby odmierzały czas, a sekundy łączą się w grona i płoną pulsujące jak czerwone ziarna piropu – to na pysku niskiej chmury rozpalają się karminowe usta z neonowych rurek i kuszą lubieżnie zakłębioną reklamą biura podróży; jedź z nami na wycieczkę do Wilna i Katynia oraz na wczasy w Acapulco...

W szadzi mgły siedzi w kucki Pałac Kultury i Nauki; teraz ma tylko kilkanaście pięter, bo wyżej ogacają go lepkie obłoki; szczerbate szczęki, wieńczące mury są tak niestosowne, że odęte gmaszysko wygląda jak sędziwa dziwka, obwieszona mdłymi błyskotkami. Wokół jej kiecy szwendają się warkocze strumyków i szukają ujścia w spękanych płytach i skrzątnie utykają w szczelinach informacje dla przyszłych pokoleń; woda mozolnie donosi wióry, strzęp „Życia Warszawy” z kolumienką ogłoszeń agencji towarzyskich, skradzione dokumenty, porzucone przez doliniarzy, nalepkę z butelki wina Car Polszy, rozmokłe rachunki, kartkę ze szkicem wiersza, obwieszczenie, kołnierz marynarki, pudełka po papierosach, etykietkę w dwóch, na zawsze zrosniętych językach, Carskoje krieckoje igristoje, koktajl gronowy musujący, sdielano po staremu russkomu receptu, gwarancja cztery miesiące, opakowanie po indyjskich kadzidelkach z napisem: firma istnieje od czterech tysięcy lat, prezerwatywy, beretkę, barwne bibułki po owocach cytrusowych, karzącą dłoń z plastyku człowieka – nietoperza, wizerunek uszczęśliwionego Żyda na etykietce z butelki wódki koszernej, bandaż, rozmarzone oczy z plakatu wyborczego, dobry jeszcze nabój, medal państwowy, okładkę romansu erotycznego, rękaw szaty warszawskiego buddysty, kawałek ucha, odcięty przez bezwzględnych egzekutorów długów, złocistą wskazówkę zegara, główkę stokrotki z chińskiej wytwórni, część strony z książki pamiątkowej restauracji Polonia z chwiejnym wpisem: piłbym u was więcej, gdybym miał więcej rąk, pety, fotografię dziewczyny w rozchylonej na nagich piersiach męskiej marynarce, sex horoskop, zwitek taśmy wideo, kapsel z butelki piwa, reklamówkę telewizji kablowej, skrawek skóry z wytłoczonym napisem: dzieła zeb, flaszeczkę lakieru do paznokci, barwną stroniczkę z pisma dla licealistek z poradą jak zdobyć i utrzymać przy sobie żonatego mężczyznę, rączkę ciupagi w kształcie głowy sępa, ulotkę ze zręcznym antysemitycznym hasłem: Polacy to Żydzi, reklamę klubu pederastów, szalik z wyszytym napisem: ce, ce, ce ce ce, cewukaes Legia; szemrze bezmyślnie ta nieczytelna mowa miasta stołecznego i milknie w licznych rozpadlinach.

Wiatr duje od gór Uralu i zbija czekających ludzi w gromadki, w których łatwiej im przetrwać chłód; kobiety garną się do swojego ciepła, a mężczyźni trzymają się nieco z boku - jak na wiejskim weselu; odchyleni do tyłu opierają się plecami o brzuszysko wiatru i jak opium wysysają dym ze stulonych dłoni, strzykają śliną na marne, czasem się odzywają jak tych dwóch, których wieku odgadnąć niepodobna; masz nawijkę; no nie mam; toś nie ruchał jeszcze; no nie ruchałem jeszcze; a ja mam nawijkę, mam, w pociągu taką mam,

włazę do przedziału, biorę bilet od kobity i nawijam tak, a do kogo należy ten kwadratowy prostokącik, a ona mówi, że do niej i już jest moja, ja już dwa razy na to ruhałem...

Wir wiatru przywleka skądś głucho dudnienie orkiestry dętej; słyhać ją przez moment jak ważne przesłanie niesione z innego świata; o, mówią ludzie, o. Teraz dopiero wi- dać, że nie gromadzą się tu przez przypadek.

– A mój wnuczek, jaki to spryciarz – przechwała się kobieta i nieustannie powtarza te same ruchy; jakby sobie rozrywała pazurami gardło albo zaciągała pod brodą węzeł chu- ściny. – Schowałam rentę na ciebie, to w końcu do goła mnie rozebrał, a znalazł! Wszystko zabrał! Co do grosza! – krztusi się z uciechy i znowu rozdziera gardło. – Taki spryciarz!

– Ja to znowu w nic już nie wierzę. Ale to kompletnie. Utraciłam wiarę z dnia na dzień. Nadzieję też. Poddaję się.

– A poczucie tożsamości? Jak z poczuciem?

– Jak najbardziej.

Na kłębie mokrego odzienia, które zdarła z siebie i dziecka, siedzi Rumunka. Twarz ma smagłą, niemal czarną, a przez jej prawy policzek biegną dwie mroczne dęgi; Rumunka kiwa się jak porażona chorobą sierocą, jedną ręką podtrzymuje zamyślane dziecko, a drugą macha miarowo, jakby dyrygowała walczykiem, a gdy z błyskami i zawrotem przela- tuje nieopodal dyskoteka pancernych samochodów z transportem pieniędzy, to można by pomyśleć, że je Rumunka próbuje tym wahadłowym ruchem dłoni zatrzymać i wyjednać worek banknotów.

A obok niej stoi kilkuletni chłopiec z rozmokniętym papierosem w mlecznych zębach; jak szkolny raniec wisi na nim olbrzymi akordeon; chłopiec to beznamiętnie rozciąga, to tłamsi instrument, naciska jakieś klawisze albo zapomina nacisnąć, a akordeon wydaje z siebie na przemian skowyt i rozdzierające westchnienia.

I znów słyhać kopniaki bębna i dychawiczne pobekiwanie tuby i żebrak, który przy- gotowuje się do pracy, podrywa na moment głowę i zastyga, ale zaraz wraca do siebie; siedzi pośród wód na tafli styropianu, jakby żeglował na ośnieżonej krze, odwija na nodze gałgany, odsłania kikut i z wyższością spogląda kątem oka na Rumunkę; zaraz jednak się krzywi, bo wilgoć wywołała bóle fantomowe i pochyła się i bezwiednie rozciera nie ist- niejącą stopę i nie istniejącą łydkę i z ulgą mamie jakieś słowa i popluwa nimi przed sie- bie; znowu przypomina sobie Rumunkę i podrywa głowę, a siateczki krwawych żyłek w jednym mgnieniu oplątują białka jego oczu i rozpaczliwie szuka poparcia przechodzącej staruszki; ostatni wdowi grosz z nasz wycykają, rozdrapią ten nasz majątek i ten nasz do- robek do ostatniej sztuki skarpetki i w tej ostatniej sztuce skarpetki nasz wypuszczą na ko- niec... A staruszka, jedwabście wiotka, sunie wolniutko i nie słyszy złorzeczeń żebraka i tak płynnie pochyła się na bok, jakby ją przyginal do ziemi rozłożysty cień Pałacu Kultury i Nauki, coraz niżej i niżej i ustaje przyciąganie ziemskie, a siwy kosmyk idącej rozczesuje kałużę jak refleks białego światła, może ona tylko przykłada, ucho do skorupy ziemi, by złowić dudnienie orkiestry dętej; idąc przed siebie jest już tak blisko chłodnych płyt, że nawet nie pada na nie i nawet się nie osuwa, tylko tuli się do nich bokiem i skronią w miej- scu, w którym w niepamiętnych czasach krzyżowały się ulice Zielna i Żłota.

Ludzie patrzą po sobie ze zdziwieniem.

– Wypierdzieliła się.

– Może być i tak, że kac ją zatłukł na śmierć. Niejednokrotnie tak bywa dzisiaj.

– Dawniej, to inaczej bywało. Pamiętam jak dziś, że tu zaraz przy Chmielnej był zakład fryzjerski. I siódmego kwietnia, w trzydziestym siódmym, tak pod wieczór, właścicielka zakleszczyła się z wilczurem.

– Ja dwóch mężów miałam, skorpionów. Nie warto.

– Mój mąż baran. Słyszałam, że baranowi i skorpionowi dobrze tylko w łóżku.

– Ale! Nieprawda, nieprawda!

Przed masywem Pałacu Kultury i Nauki pałętają się fachowcy w firmowych kombinacjach; pod ich nogami przelewa się kolosalne cielsko czarnej matwy; oni podłączają do zaworów gumowe węże, włączają agregat, a połyskliwa galareta rytmicznie faluje, jakby chwytała oddech. Fachowcy popatrują ukradkiem, by oszacować tłum, ale tłumy nie ma; jest tylko grupka ludzi i fachowcy patrzą na tych nielicznych z obrzydzeniem; nic nie warto robić dla tego narodu, odzywa się jeden z rozłożystą brodą i kluczem francuskim w palcach, żadnej uroczystości. Żadnej atrakcji. Żadnej tradycji. Nic nie uszanują. I nie zgromadzą się. Tylko takie gacopierze przyleżą jak te, żeby ich chudy byk popieścił! Dwadzieścia tysięcy baksów ponad kosztowała atrakcja i taka marnacja.

– Dlaczego. Dla Polaków można czasem coś dobrego zrobić. Ale z Polakami nigdy. Czy jakoś tak odwrotnie.

No bo Polacy... Polacy... no tak jakby... czy coś... Pracę fachowców dozoruje grupa organizatorów, doradców i kierowników przedsięwzięcia; deszcz wpędził ich pod okrągły namiot, który dla nich rozstawiono. Cienkie ścianki odgradzają ich od żywiołu i ludzi, płótno strzela na wietrze i tłumi ich rozmowy, choć na placu nie ma nikogo, kto chciałby podsłuchiwać; raz tylko ktoś mruknął półgłosem, mają tam problemy techniczne; ale zaraz odwrócił się i dodał bez związku, to jest w ogóle śmieszne, żeby ktoś się tłumaczył czy ma mieć porcelanową koronkę, czy nowe buty... więc nie zmuszać mnie, żebym użył jakichś tutaj sił, bo ja się gnieźdźę na trzydziestu sześciu metrach..., a w namiocie, w czadzie pary, wyrzucanej przez rozgorączkowane usta, huczą głosy organizatorów i doradców i kierowników i splatają się i nie mogą się wydostać tam, na wiatr.

– Polskę oniemić, to Polskę zniemczyć...

– Gdzie dobrze, tam ojczyzna...

– Coś ty dla miłej zniósł ojczyzny...

– Jakiej filozofii Polacy potrzebują...

– Polak przejdzie przez wszystko...

– Idzie o to, aby zbudować drugą Polskę...

– Nie masz dziś w Polsce, jeno kupcy i rataje...

– Robotnicy nie mają ojczyzny...

– O Boże, wielki Boże, ty nie znasz nas, Polaków, ty nie wiesz, czym być może straż polska u twych znaków...

– Wy nie wierzycie w Polskę...

– Hej, kto Polak, na bagnety...

– Budujemy miłej ojczyźnie...

– Polska zdziecinniała...

– Polak w kołysce i w trumnie przy szabli...

– Wyzwolisz człowieka w Polaku...

– A ty wiesz, co będzie z Polską za lat dwieście...

– Chcieliście Polski, no to ją macie, ojczyzna mnie woła, Polska kraj polowań, niech żyje Polska, jedyny obrońca Maryi, mówimy wciąż o zawłościach duszy Polaka jeszcze dużo takich Polaków ostało co są piękni synczyzną ty ojczyznę zastąp ten jest z ojczyzny mojej trzeba rozrywać rany polskie Polacy są narodem idiotów kiedy prawdziwie Polacy powstaną nierządem Polska stoi Polska Chrystusem narodów Polska gada Polska gada może Polak nie wiedzieć co to morze gdy pilnie orze aby Polskę pociągnąć wyżej Polak jest olbrzym a człowiek w Polaku karzeł do ciebie Polsko i dla twej chwały; no dobrze, panowie, macha jeden z nich gazetą, ale pozwólcie, że coś wam przeczytam; osiem promille alkoholu we krwi stwierdzono podczas powtarzanych dwukrotnie badań zatrzymanego gra-

barza z cmentarza Rakowickiego w Krakowie. A zdaniem lekarzy śmiertelną dawką alkoholu może już być około trzy i pół promille...

– Do czego pan pije, kolego?

– No ja piję do tego, żeby zrobić ścięgno i żeby zrobić flaszkę i żeby dziorgnąć na dobry początek... Bo jak statek się woduje, to widziałem...

– Flaszka! Flaszka! Tylko tyle potraficie... Wódka... Wódka... Chlać!... Tak... No tak... Kto wie?... A może by rzeczywiście?... Z drugiej strony jakby z obu stron spojrzeć na raz... A w ogóle, Kraków, to jest Kraków. Królewskie miasto. Hejnał mają co godzinę. To co się dziwić...

Ale przerywają naradę, bo w tym momencie rozpruwa się opończa deszczu i wyłania się ze szczeliny najpierw orkiestra dęta, a za nią toczy się kłęb muzyki; maleńki tamburmajor wywija swą buławą, rozbijając groszki deszczu na suchy pył; muzycy garbią się i nisko pochylają instrumenty, by nie zachłysnąć się wodą.

Staruszka leży na drodze orkiestry dętej, jakby przykładła ucho do niewidzialnej szyny i nasłuchiwała, czy nie nadjeżdża pociąg; podnosi się teraz zręcznie, otrzepuje paletko i usuwa się pośpiesznie, by uniknąć stratowania.

Tamburmajor zauważa grupkę ludzi i uderza mu do głowy dur podniecenia; kuglarskim sposobem ciska buławę w chmury, a ta znika na chwilę, aż on podnosi głowę i wypatruje, zatapiając wzrok w deszczu; wierna buława wraca i wiruje wściekle i młóci wodę i tworzy w niej lej, ale już lgnie do rozcapierzonych palców... sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam! - grzmi muzyka, a bębniarz przybija ją hufnalami do twardych chmur.

Orkiestra okrąża ludzi, jakby ich okadzała dźwiękami.

– Ćwicz oko i dłonie w ojczyzny obronie! – krzyczy uroczyście mężczyzna i zrywa z głowy beret obiema rękami i macha nim na wszystkie strony, jakby chciał zaczerpnąć wody.

– Panie. To nie wojo. To strażaki.

– Strażaki, nie strażaki. Strażak tyż Polak. Jakby co do czego. A i sama nazwa mówi to samo, **co** ja mówię. Nazwa!

Hałaśliwie pracuje sprężarka powietrza i czarny kształt pulchnieje wolno i przelewa się z boku na bok jak uśpiona meduza.

Orkiestra dęta, która pojawiła się za wcześnie, zachodzi ludzi ze wszystkich stron, jakby pilnowała, by nikt nie odłączył od gromady.

– A mnie Jaruzelski w rękę pocałował – wyrzuca z siebie kobieta i ceglasty rumieniec wypelza na jej lica i szyję. – Jak był z nie zapowiedzianą wizytą na zakładzie... Jeszcze za tej tamtej Polski. I on mnie się nagle pyta, może całusa, że mąż na pewno nie zobaczy, a tu naród cały w śpiew, że szumi dokoła las i płynie Oka i sto lat, tak jak tu, sto lat, niech żyje nam, a on krzyczy nagle, ale kto sto lat i zaraz mówi sam do siebie: warszawianki sto lat, taki jajcarz i że sto lat to za dużo dla niego, bo życie jest ciężkie, czy coś koło tego, taki jajcarz! W rękę mnie pocałował i pyta, może całusa! Ale może ja państwa zanudzam? Kto kawkę, kto herbatkę? – pyta niedorzecznie kobieta i wodzi nieprzytomnym wzrokiem.

– A ja z drugiej strony tak pani odpowiem na to. Walczę z wiatrakami z drugiej strony. Odpycham od siebie kłody, które Anglia rzuca mi pod moje nogi. Ale jestem optymistą, chociaż Anglicy są przeciw mnie. Muszę zdobyć jeden tysiąc funtów, bo chcę się dostać do księgi rekordów. Tyle kosztuje mój projekt. Dam się zakopać w trumnie na sto pięćdziesiąt dni. Dlatego przyjechałem do stolicy, żeby sprawiedliwości szukać. Do tej pory rekord świata ma sto czterdzieści dwa dni. Trumna moja dwa metry długości, dziewięćdziesiąt centymetry wysokości, osiemdziesiąt dwa centymetry szerokości. Anglia nie chce mi sfinansować tego bicia. A ja mam dwoje dzieci i chcę dla nich coś po sobie zostawić na trwałe... I żeby miały dumę z ojca...

– Nikt mi nie powie... Piękna oprawa uroczystości... Jak będę chciał, to tak to ujmę... Ale z góry się zastrzegam...

Orkiestra dęta robi nagły zwrot, jakby nią zamiótł wiatr i dźwięki z łoskotem walą się na ludzi.

Mężczyzna, stojący obok kobiety, zniemacka zaczyna się chwiać na nogach i lecieć z tych nóg, a kobieta patrzy na niego i usta otwierają jej się w niemym zdumieniu... a po chwili dochodzi do siebie i przekrzykuje instrumenty, a w jej głosie wściekłość miesza się z podziwem; no nie, karwia, patrzta ludzie, tylko się odwróciłam na strażaków, na jedną chwilę tylko i odwracam się, karwia, do niego, a ten już pijany, nie wiedzieć z czego! No nie, karwia, tylko się na chwilę odwróciłam!... I na co ja się głupia odwracałam... Tak by trzeźwym był, karwia... Ale i tak ja bym wszędzie za nim poszła

w ślad. Do tego stopnia zatraciłam resztki poczucia rachuby, karwia...

– Piłem, bo mnie głosy kazali – wyłuszcza mozolnie mężczyzna. – Ty, weź się napij, mówiły, weź się napij; to ja sobie pomyślałem, żeby nie pić, to będę robił wszystko odwrotnie, niż mi oni każą, ci głosi. Ale te oni od razu się wycwanili i zaczęli mnie mówić, ty, nie pij, czego będziesz pił, nie pij... A ja odwrotnie. No to co ja mogę w tej danej sytuacji? Pytam. Odpowiadam. Nic nie mogę. Z głosami jeszcze nikt nie wygrał...

Buława tamburmajora szybuje w górę i sieka mgłę na plastry i znika z ludzkich oczu.

W tej chwili czarny kształt, pompowany przez fachowców, nabrał już tyle powietrza, że coś w nim beknęło przeciągle i nagle upodobnił się do ludzkiej sylwetki i gumowy człowiek z wysiłkiem usiadł, z łbem opuszczonym na szeroką pierś i miał kilka piętér wysokości; tamburmajor zatrzymał się jak wryty i oczy wyszły mu z orbit i zapomniał wyciągnąć rękę, a wtedy wirująca buława pojawiła się jak błyskawica i ze straszną siłą ugodziła go w czoło.

I tamburmajor osunął się bezwładnie na granitowy głaz, który miał za plecami, na tablicę ze złocistymi literami, przytwierdzoną do tego głazu, na dumny napis: w tym miejscu stał dom, w którym 16 grudnia 1918 roku na zjeździe połączeniowym SDKPiL i PPS-Lewicy utworzona została Komunistyczna Partia Polski; a na rozbitym łuku brwiowym rozwinęła się połyskliwa wstążka krwi.

Osierocona orkiestra dęta wydała z siebie ostatni dech i umilkła bezradnie.

– Jak by miał kask strażacki, to by nie było nieszczęścia...

– Kasku mieć nie mógł, bo instrukcja nie zezwala. Służyłem ochotniczo, to wiem. Instrukcja mówi, żeby jego chronić przed wodą i ogniem. Dwa najgorsze żywioły jak to się mówi. To i ja tak mówię. Więc nikt mi nie powie.

– A może on upitym jest?

– Może i być, że kozłowy. Dziś nikomu nie można wierzyć. Nawet strażakowi. Takie czasy.

– Może też być, że jego sparaliżowało. I jego nogi zaprzestały jego samego nieść. Mnie czasem też się tak robi, ale tylko z rana.

– Jakby w skroń utrafiło, trup na miejscu! Skroń to jest skroń. Anie... Szkoda z drugiej strony, że nie utrafiło... Mogliby wtedy order jemu przyznać pośmiertny...

– On już prędko nie zadyryguje... A pieniądze z kasy pobrał pewnie z góry...

Ale ludzie przestają się interesować tamburmajorem, bo sprężarka milknie nagle. Odwracają się tam, skąd idzie cisza i aż cofają się ze strachu. Pod Pałacem Kultury i Nauki stoi straszliwa gumowa małpa i opiera się o ścianę, jakby chciała osłonić budynek własnym ciałem. Zza jej ucha wychyla się fachowiec i umiejętnie zakłada jej na szyję pętlę. Ludzie ostrożnie, krok po kroku, zbliżają się, ale milczą. I to milczenie przerywa teraz niepohamowany szloch:

– Ze też człowiek jego dożył... Gigantyczny olbrzym...

A tamburmajor podnosi oszołomioną głowę i otwiera przekrwione oczy i zatrzymuje wzrok na cielsku małpy, a potem, opierając się o dumne litery, wstaje niezdarnie; co ja tu robię, mamrocze, kto ja jestem, żeby tu ze siebie samego robić horyzonty techniki; co ja tu robię i macha ręką i chwiejnie rusza przed siebie, a stadko orkiestry postępuje za nim i tak wędruje w cichości, aż tamburmajor dochodzi do betonowego słupa, na którym wyryte są kierunki i odległości do stolic i wpatruje się w napisy i czyta, Londyn tysiąc czterysta czterdzieści cztery i rusza w tamtym kierunku, pociągając za sobą orkiestrę, a litościwy deszcz wytrwale zmywa krew z jego twarzy.

Rozlega się charkot krótkofalówki, słychać jakieś urywane komendy, lina, kończąca się pętlą na szyi stworzenia, napina się i wolno rusza w górę, a małpa staje na baczność, a potem odrywa się od ziemi i podąża za tą liną, czochrając grzbiet o kamienne ozdoby.

Jęk podziwu toczy się w ślad za nią i nagle ludzie odwracają się, bo rumuński chłopiec z akordeonem, który wlepił w małpę okrągłe oczy i tylko posapywał miechem, nagle rozciągnął ten miech na całą długość i nacisnął klawisze i popłynęła gromka pieśń bez jednego fałszywego dźwięku;

sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam...

– Zuch chłopak, wyrośnie na dobrego Polaka!

– Ja to jestem czuły na tradycję piękna. A już muzyka, to mnie rozstraja całkowicie – szepcze zadziwiająco chudy mężczyzna w berecie, który ma doszyte specjalne klapki na uszy; i nie może się już powstrzymać i przyłącza się do akordeonu rumuńskiego chłopca, a za nim podchwytyują pieśń inni i podniosła pieśń niesie się i wydaje się, że to jej siła podsadza małpę coraz to wyżej i wyżej.

Małpa jest już wysoko, ale wyciągarka nie przestaje pracować i za chwilę łeb pochłona niskie mgły.

Na dole, z drugiej strony Pałacu Kultury i Nauki, z dala od widzów, podjeżdżają pierwsze rządowe samochody i wyskakują z nich ochroniarze i usłużnie rozwierają drzwi, a potem wiodą swoich panów do marmurowej sali, gdzie z tej uroczystej okazji zorganizowano dla nich bal.

I teraz idą, osłaniani przez pełną poświęcenia obstawę i nie widząc nic dookoła widzą wszystko; ubrani są we fraki, a pod brodami mają z jakichś przyczyn czarne muszki.

A do wielkiego łba małpy klei się mierzwa pierwszych obłoków. I wtedy zabłąkany refleks światła śmiga przez szerokie czoło i zastyga na moment i trwa... A tym maleńkim sylwetkom w dole wydaje się wtedy, że małpa rozwarła swe wielkie przepastne oczy.